

SADZE



<sup>K</sup> ZŁOTO <sup>H</sup>

Zakupiono

od D.K. Antykwariat  
w Bydgoszczy

Miejskiej Biblioteki Publicznej  
im. Ludwika Waryńskiego  
w ŁODZI

162316 dn. 29.8.1967 r.

SADZE  
I  
ZŁOTO

Okladkę rysunku Karola Hillera wykonano w Zakładzie Stanisława Welanika w Krakowie, ul. Sławkowska 14. Sześć litografij bito z kamienia w Zakładach Graficznych Filipa Grapowa w Łodzi, ul. Gdańska 87. — Książkę odbito w ilości 600 egzemplarzy na papierze bezdrzewnym. Składał Władysław Müller.

# SADZE I ZŁOTO

WIERSZE WITOLDA WANDURSKIEGO  
LITOGRAFJE KAROLA HILLERA

1                    9                    2                    6

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF W WARSZAWIE

82189-11-9

*Wiersze i litografie tego tomu powstały — niezależnie od siebie — na bruku łódzkim w okresie 1922—1924. Ten sam kompleks, który znalazł odbicie w słowie rytmicznym, realizował się prawie jednocześnie w kompozycji linearnej, w rysunku. Załączone litografie nie ilustrują wierszy: są one również wierszami linearnymi, w sobie zamkniętymi. Pozwala nam to przypuszczać, że poezja i grafika stanowią w danym wypadku dwugłos szarmonizowany. Słowo i linja wyrosły z pokrewnego podglebia duchowego dwojga ludzi, złączonych węzłem przyjaźni. To nas upoważnia do objęcia naszego dorobku wspólnym tytułem.*

## GOŁĘBIARZ

Świt.

Kamgarn nieba wysycha po deszczu na słupach kominów

Kamienne miasto, opile pracą, śni sen,

ciężki, kamienny,

nad urwiskami brandmaurów.

Kwadraty ulic.

Kuby domów.

Czerwone bloki masywów.

I te przekrwione siatkówki okien fabrycznych.

Kamienne miasto śni sen

ciężki, kamienny.

Ale na śliskiej posadzce dachu kamienicy śródmieścia  
otwiera się luka.

Wchodzi ten, który czuwa nad miastem:

siwiejący gołębiarz.

Otwiera klapę drucianą,

sypie groch,

gwizdże

6

i długo macha sztandarem ze ścierki na długiej tyce.

I oto

z furkotem

strzela srebrzysta rakietą

gołębi.

Druga — piąta — dziesiąta...

Białe krymki.

Koziółkujące berliny.

Stalowo-sine pocztowce.

I ta hołota — metysy upośledzone — pstre siekry.

Siwiejący gołębiarz, gwizdząc, spogląda ku górze

i macha sztandarem.

Misterjum!

Nad miastem kamiennem

co śni sen ciężki, kamienny

opite pracą —

nad kwadratami ulic,

nad kubami domów mieszkalnych

nad masywami bloków fabrycznych

i urwiskami brandmaurów —

jedyna radosna krzywa!

Gołębie

na szmacie nieba z kamgaranu

kreślą elipsy tęsknoty



Gołębie  
rysują znaki tajemne gwiazd niedostępnych,  
które notuje w pamięci  
wsparty o cokół komina  
siwiejący gołębiarz:  
ASTROLOG.

1922.

## KARUZELA

Ulicą  
 wężozem między fabrykami  
 wóz  
 ładowany drewnianemi konikami  
 karuzeli.  
 Minaret komina iglicą  
 przebił na śmierć kometę  
 papierowego latawca  
 i wysoko nad miastem zawisnął  
 — akrobata pod kopułą cyrku Ciniselli —  
 smęt kolorowy syna krawca.

Haussa — baissa.  
 Franki szwajcarskie 1350  
 Żarówki Siemens a i Halske.  
 Chłopiec bawełnę w papierze niebieskim pod pachą niesie.  
 I w tem —  
**ASYRJA!**

Osiem par z drewna wyciętych rumaczyh łbów  
 Trzydzieści dwie pary wygiętych rytmicznych nóg  
 tworząc bojowy szyk

skręca za róg  
w kierunku szosy na Rzgów.  
Bum — cyk — cyk!

Karuzela!

Adjel  
Na całą zimę.  
Drogą na Rzgów.  
Do widzenia!  
I znów —  
kwietniowa niedziela.  
Słońce trąbi w pozłacany róg:  
reklama wiosny!

Syn krawca puszcza latawca.  
Karuzela — bum — cyk — cyk!  
Pod namiotem dudni dziesięć bosych nóg.  
Kręcą.  
Dziesięć razy okręcą — jedna runda fraj!  
Graj że katarynko, graj!  
Bum — cyk — cyk!  
Skoczyć w biegu  
zawisnąć jaskółką  
zeskoczyć  
wskoczyć  
łapać kółka

10

żelazne obrączki...

Talizman szczęścia!

Graj że, katarynko, graj!

Trzy złapane kółka — jedna runda graj!

Bum — cyk — cykl!

Karuzela.

Hausa — baissa.

Franki szwajcarskie 1350

A drogą na Rzgów

drewnianych koników trupki

dwie szkapy wloką.

Słońce, wciśnięte pomiędzy kamienic łupki,

śle perskie oko

do bladej panny w kiosku.

Rudy prokurent bawełnę pod pachą niesie

i znów

przystaje koło witryny fryzjera

szczybie biust damy — z wosku.

Hausa — baissa.

Drewnianych koników trupki.

JESIEŃ.

**MIEJSKIE**

Na słonecznych organkach gra ulicznik marzec  
Siusia z dachów przez rynny przechodniom na twarze.

Dzwonią o wszystkie płoty fluzy i tyczery  
Tańczą na szyldach ubrań pokraczne frajery.

W ciemnem oknie sklepiku blade złote śledzie  
Połyskują mistycznie w natłoczonej biedzie.

Bucha z okien otwartych zaduch, swąd i czosnek —  
A pierzyny z balkonów reklamują wiosnę!

## W LEŚNICZÓWCE

Młody bór pachnie winem fiordów Hamsuna.  
Stalowa cisza zaraz pęknie jak napięta struna.

Bzykają skrzydełkami gwiazdy w szafirowych chabrach  
Jak złote osy w pudełeczkach ojca Fabre'a.

Pod mięką stopą nocy nawet pies nie warknie  
Kiedy do gwiazd roiska wchodzi mądry bartnik.

Ociekający miodem plaster modrej miazgi  
Wycina szablą krzywą spadającą gwiazdy.

A gwiazda pada we mnie jak zielone ziarno,  
Pęcznieje wierszem i wylata młodą sarną.

I nic nie boli, I niema żadnych cierpień.  
Po mlecznej drodze boso idzie rumiany sierpień.

## OD PÓŁNOCY DO ŚWITU

Październik.

Ostatni owoc dojrzewa  
i spada.

Za liściem liść krąży.

Za liściem liść pada  
czerwieni.

Iść — iść — iść ulicami

zadumanemi nocami mądrej jesieni

Iść ulicami: Karola — Pańską — Radwańską —  
hen — na Karolew.

Zadymionemi płucami

pić wino z lodem,

pić to powietrze jesieni

pachnące wiatrem i szronem

i ciałem młodem

mej żony.

Iść pańską — sam — zadumanemi nocami

koło zamkniętych bram

koło parku — wyspy umarłych Boecklina —

i słuchać rytmu swych kroków  
tak jeszcze młodych.  
Patrzeć jak północ podnosi na srebrnym bloku  
lampę gazową księżycy,  
patrzeć jak północ z cienkiego jedwabiu mroków  
wycina profile cieni  
i skleja  
w stylu Beardsley'a  
blanc et noir.

Skwer pusty. Ławka. Samotna dziewczyna  
pensjonarka czy panna z kawiarni  
rękawiczką oczy przesłania od blasku latarni  
i szlocha.  
A może nie szlocha?  
A może —  
to jeno fantom księżycy?  
Park szumi — wyspa umarłych Boecklina —  
Mandoliny jesieni.

Zielony księżyc — somnambuliczny rysownik —  
pochylony nad geometrią wykreślną  
tkalni — apretur — przędzalni  
buduje linijką cienie.  
Somnambuliczny rysownik w dziwaczny system je wiąże  
i nyże zamkniętych bram  
cyrklem promieni wydrąża.



İść — İść — İść ulicami

sam

na Karolew — i dalej.

Tam

gdzie się kończy Karolew

za drewnianymi domkami

pole.

Na prawo — łukowych lamp żyrandole:

Dworzec Kaliski.

Na lewo — noc.

Staw pusty, martwy i śliski.

A dalej kolejowe tory.

Dwa semafony

na czele.

A na papierze welinowym nieba — telegraficzny drut.

Pięć linijek pociętych słupami na takty:

kilometry rozśpiewanych nut, kilometry nut!

Izolatory

stawiają białe da capo, nigdy al fine.

Szyny

stalowe cello

grają pod nocy tłumikiem.

Wiatr

trąca

telegraficzny drut:

picicatto.

Kilometry rozśpiewanych nut, kilometry nut!

Noc. Dzikie pole.  
Wiolonczele szyn,  
I okaryna księżycy.  
Jesienna cisza — czarny ciężki kruk.  
Śpi Łódź. Śpi Karolew.  
Zamknięte podwoje bram.  
Nikt nie słyszy.  
Ja sam.  
I dzikie pole.  
I noc.

Wtem — gwizd  
przeciągły świst  
rozpruwa aksamit nocy  
Jęk — szczęk — chorągiew skier  
złotemi znakami łopoce.  
Żelazny wąż  
oczyma błyska, migoce  
szyn kilometry połyka  
iskrami żyga  
wciąż —  
a na skręcie  
kadłub wygina  
sapie zawzięcie  
i znika.

Kurjer w kierunku Berlina.

Iść — iść — przez dzikie pole —  
z powrotem.

Iść przez Karolew  
do miasta

gdzie geometria wykreślna tkalni — apretur — przędzalni  
z waty przedświt w rasta

i przypomina:

Nie jesteś, człowieku, sam — nie jesteś sam  
Minarety

zamorusane kominy

budzą się zwolna i kadzą dymu obłoki.

Meczety

czerwone bloki

tkalni — apretur — przędzalni

rozwarły podwoje bram.

Organy maszyn, ukryte w gorącej parze

grają hymn pracy.

Migają koła ruchomych ołtarzy.

Wraca j!

Za pół godziny

zanucą pieśń muezziny

syreny fabryk

i wierni — robotnicy i robotnice —

z Karolewa — Pańskiej — Radwańskiej

wyjdą na ciche ulice

niewyspani, lecz mądrzy i prości.

Za pół godziny  
zagrają hejnał radości  
trąby kominów —  
a wierni  
poważni niemcy — nerwowi żydzi — polacy  
codzienną modlitwę pracy  
rozpoczną.

Październik.

Ostatni owoc dojrzewa  
i spada.

Za liściem liść krąży.

Za liściem liść pada  
omdlewa.

Łódź dymi.

Sadze na twarzy — jak krosty.

Syrena śpiewa.

Wierni do świątyń dążą.

Idę  
radosny i prosty  
za nimi.

## LATO 1923

Dozorca piątej kategorii — 18.000 marek tygodniowo.  
Bochenek chleba — 9.000.

Lipy w ogródku fabrycznym pachną miodowo.  
Coraz goręcej.

Ludzie bez kapot stoją spoceni u bram  
wsluchani w bulgot żółto-zielonych rynsztoków.  
Szklane źrenice toczą po martwych kominów lesie  
po złomach brunatnych bloków.

Tam  
u wylotu ulicy  
zeszły się starki-rajfurki  
dwie kamienice

i szepcą:  
Dzień się strudzony powiesił!

Na szyi nieba  
koloru mętnej cykorji  
czerwieni  
cieniutka bruzda wisielca.

Lipy w ogródku fabrycznym pachną miodowo.  
... Gdzieś w Kielcach  
urzędnik ósmej kategorii  
rzeżki i zdrowy

kroczy za miasto  
na ryby.

A w Łodzi

ludzie bez kapot stoją spoceni u bram  
starzy i młodzi

wsluchani w bulgot żółtych cuchnących rynsztoków.

Ach, gdyby

można się było wykapać!

Wykapać w rzece!

Nic więcej.

Lipy wciśnięte w szczeliny brunatnych bloków

pachną miodowo

coraz goręcej...

Bochenek chleba — 9.000.

Dozorca piątej kategorii — 18.000 marek tygodniowo

## KAPITAN NEMO

Księżyc  
iluminator niewidzialnej submaryny  
S. IX.  
powoli płynie.  
Kapitan Nemo w kabinie  
u steru.  
Droga mleczna.  
Elektryczne fale.  
Ocean eteru.  
A tu — w głębinie —  
podwodne rafy kamienic  
stalaktyty kominów  
ślimaki turbin  
kraby-lewary  
stada pociągów-gąsiennic —  
Atlantyda zatopionych miast.  
Zna doskonale farwater kapitan Nemo.  
Wysoki Syrjusz — radiostacja świata —  
sygnalizuje mu iskrą.  
Wylądujemy na koralowej wyspie  
i z palmy srebrnej narwiemy daktyli gwiazd.

W jesiennem palcie, jak w zbroi skafandra  
chodzę po miejskim dnie.

Gumowa salamandra.

Nurek.

Z łodzi księżycy zwisa ku mnie sznurek  
promieni.

Setki tysięcy atmosfer!

Ocean przestrzeni  
nade mną.

A w gardle schnie.

W uszach dzwoni.

Hallo!

Kapitanie!

Proszę nie spuszczać w dół.

Ołów moich podeszew w trotuarach tonie.

Zapadam w muł.

Kapitanie!

Ciągnąć do góry!

Hallo!

Nie odpowiada.

Iluminator księżycy wysoko płynie.

A tu — w głębinie —

między rafami kamienic

biegają spłoszone gady — automobile —



i sączą tubkami źrenic  
jad — acetylen.  
W zielonym blasku  
migają rozhybotane plamy  
— ludzie czy ryby? —  
i wystraszone mą gumową maską  
znikają w niebieskim szlamie.  
Dzwoni mi w uszach — dzwoni — dzwoni — dzwoni —  
Hallo!  
Mówi nurek.  
Tonie!  
Hallo!  
Kapitanie!  
Ja się na dnie duszę!  
Ciągnąć do góry!  
Hallo!  
Czyś oniemiał?

Cisza.  
Głos nie dolata.  
Kapitan Nemo nie słyszy.  
Kapitan Nemo w kabinie  
bada niebieski farwater  
i płynie  
poprzez elektryczne fale  
wciąż dalej

ku wyspie z koralu  
gdzie srebrne palmy rodzą daktyle gwiazd.  
Nie słyszy  
wołania nurka z głębiny.

Chlast!

Przeciął rurkę  
i zamknął iluminator swej submaryny  
księżycu  
Kapitan Nemo,  
Głucho.  
Ciemno.  
Niemo.  
Szara i mętna mgławica.  
Atlantyda zatopionych miast.

## SZCZĘŚCIE

Napisałem wiersz.

Poświęciłem go przyjacielowi serdecznemu — poecie.

Jestem słodko wyczerpany.

Świeca płonie równo — jak me szczęście.

Żona śpi, bardzo znużona.

I pies mój śpi.

Cisza.

Tylko tika nerwowo na nocnym stoliku budzik.

Pełnia.

Wszystko takie proste i spokojne.

Teraz wiem, że można kochać ludzi.

## KINO-DRAMAT

Na stoliku lampa, keks i pomarańcze,  
dwie herbaty i kawałek czekolady.  
Ciepło w pokoju.  
Z drzwiczek pieca na podłogę żółty kwadrat pada.  
Na drugim piętrze:  
gruby buchalter gra shimmy na pianoli,  
dwa szpice tańczą.  
A tu  
w skupieniu  
młoda kobieta coś szyje.  
W milczeniu szyje coś białego z koronkami.  
Napis:  
— Wiesz, myślałam że to będzie dla naszego maleńkiego...  
Dwie krople duże  
najświętsze  
płyną rowkami twarzy  
wisną na szyi.  
Dym z fajki.  
Cisza trwożna.  
Aż się w głowie kręci...

Na drugim piętrze:  
gruby buchalter gra shimmy na pianoli.  
Ból ostry — jak iniekcja rtęci.

Mężczyzna:

— Nie można.

1923

**MĘKA**

Najgorsza męka wówczas, gdy męki jeszcze niema  
Godzina, kiedy Chrystus odchodził na Getseman.

Dnie wędną na czekaniu, a dni tych wiele, wiele  
Miałeś, Chrystusie, uczni — nie miałeś przyjaciela.

Gdybyś się nam objawił, orzeklibyśmy: warjat!  
Co Tobie burżuazja? Co Tobie proletarjat?

Dolar jest wiecznie drogi, a słowo takie tanie.  
Kto pojmie Twoje: „Eli, lama sabathani!”

Oliwy schną od kurzu w ogrodzie Nikodema.  
Najgorsza męka wówczas, gdy męki jeszcze niema.

**DWA WIERSZE PISANE W SZPITALU****1. Śmierć**

W wygniecionej foremce poduszki  
Zastyga woskowa twarz.  
Tłusty felczer na bębnie puszkii  
Pincetami wybębnia marsz.

Płynie łóżko — blaszana gondola —  
Przez falistą szpitalną biel  
I tylko nad uchem rzępoli  
Dokuczliwy włochaty trzmiel.

Już przez upiorny korytarz  
Sunie wolno upiorny ksiądz  
By cierpienie i radość ukrytą  
Jak dwa druty baterji sprząc.

## 2. Wyzdrowienie

Słońce. Trawa. I parkan. Dwa kły wież kościoła.  
Pudła domków. Kałuże jak benzyna schną.  
Co za radość — przycisnąć do szyby kość czoła,  
Patrząc na świat poprostu, jak Henryk Rousseau!

Wielki starcze małego Paryża! Celniku,  
Malujący obrazki jak blaszany szyld —  
Wśród kajetów, obsadek własnego sklepiku  
Ukochanie wszechrzeczy wyniosłeś na szczyt.

Zrozumiałem prawd wiele w ciasnym pudle szpitala:  
Trawa jest tylko trawą, I głogiem jest głóg.  
Próżno szuka Graala tęskny duch Parsywala:  
Życie rzeczy jest proste. A wszędzie jest Bóg.



## SZEŚCZDZIESIĄT SZEŚĆ

Żona i siwa babcia grają w sześćdziesiąt sześć.  
Na podłodze w szerokie kraty kocięta kwilą.  
Kotka chce je do pudła wnieść.  
Philips Argenta sączy mleko na zieleń ceraty.  
Muchy krążą jesiennie chore.  
Przelatujące chwile.  
Hory.

Dziś rano  
gdym stał w P. K. U.  
wyjeżdżały za miasto furgony  
cyrku Medrano.  
Błady ulicznik pędził za nimi co tchu  
aż przystanął strapiony.  
Czy nie dlatego świeci tak anemicznie  
profil znużony  
mej żony?

Koty — karty — kraty — żółte rozety — i kwiaty,  
Żona i babcia grają w sześćdziesiąt sześć — uroczyście.  
Na zieleń ceraty  
padają umarłe liście

Królowie — Damy — Walety

Dwadzieścia — czterdzieści — sześćdziesiąt sześć.

Na stole płachta gazety.

Re — wo — lu — cja — a — rząd — Stre — se — man — na.

To w roku dwudziestym trzecim.

Lecz w osiemnastym — to samo:

Rewolucja.

Rząd Scheidemanna.

Humor stulecia!

Czytajmy dalej.

Sowiety.

Stypendjum dla syna Szchedryna.

Pozatem: Nep! — Nep!! — Nep!!!

W Polsce — da capo:

Gdańsk.

Jaworzyna.

Margaryna i sacharyna.

Psie mięso.

Dolary.

I czerstwy chleb.

Może w Anglii inaczej?

W Londynie zwołują na nowo

konferencję światową.

To znaczy:

Rop a.

Zrozumiałem.

Babcia Europa

nad mapą świata rozdartą

z Jehową gra w karty.

Wieszcz mówi:

Imię jego jest czterdzieści cztery.

Mgła.

Romantyczna treść.

Naco to?

Patos nieszczerzy.

Może właśnie —

sześćdziesiąt sześć.

1923

## OSTATKI

Dnie stąpają ciężko jak tragarze  
dźwigający do grobowca piach.  
W syberyjskim futrze kroczy marzec  
niosąc plakat — jedno słowo — krach!

Napęczniałe od manufaktury  
usta fabryk wyrzygują tłum.  
Roby milczą. A gdy spojrzy który —  
w białkach oczu drgają blaski fun.

Zapędzony w wilgny kąt piwnicy  
mdleje z głodu bezrobotny tkacz.  
A fabrykant — w blitz-expressie Wiedeń-Nizza —  
je sandwicze i przyjemnie czka.

Wrzeszczą zewsząd mordy pstre afiszów:  
— Maska-rada! Baw się, człeku! Skacz! —  
Już ostatki. Na gwałt do finishu  
pędzi tłusta ochwacona klacz.

Ale dnie stają ciężko jak grabarze,  
w masztach radio marsz żałobny gra.  
Zrzuci futro wyleniałe marzec  
i uderzy w bęben:

Ça ira!

**AGITATOR**

W cąkowej marynarce, tuląc w palcach kołnierz  
Biegnie truchtem po jezdni armji pracy żołnierz.

Piąta: wiec metalowców. Szósta — u włóknarzy.  
Więc truchcikiem, truchcikiem. Nagli mróz — towarzysz.

Zima, praczka gorliwa, namydliła śniegu  
Balje placów w burzynach od mydła taniego

Jak pralnia mroźną parą nasiąkła ulica  
Słońce, stara żarówka, mdło we mgle prześwieca.

Sala zebrań. Termometr kucnął niżej zera.  
„Towarzysze! Tu zimno jak jasna cholera!

Na miasto! Na rozgrzewkę! Zapalić ogniska!  
Taszczyć z ..... stare papierzyska!“

I znów dalej. O siódmej wiec u kolejarzy.  
Biegnie truchtem. Na głodno o dniu wielkim marzy.

Po dziesiątej — do domu. Zadyмка. Zawieja.  
Miasto — knieja odludna. Śnieg za kołnierz wieje.

Pali kciuk odmrożony w rozdziawionym bucie.  
Ale tli się nadzieja — rozżarzony drucik.

1924

**PRECZ Z KANARKAMI!**

Każdy artysta nosi marynarkę  
Pod nią ukrywa żeber klatkę  
W klatce ma watkę  
Serce niedokrwiste  
W sercu — starego kanarka.

Ptaszek to czuły: je złociste ziarnka  
Tylko z kramiku poezji.  
Życie? Otręby!  
Toby go otruło  
Chleba czarnego — nie zje.

Poeta w bramie liczy ostre kości  
I do piekarni zerka —  
A kanarek figlarnie o miłości ludzkości  
Do mdłości  
Rymami ćwierka.

Dość tego! Stop! Serce w garść, sankiuloci!  
Czyżby już tylko, czyż  
Wzruszyć nas mogły cysterny wilgoci  
Mia May?  
I Liljana Gish?



Łzy kinowe? Pokora? Niel Raczej cor bovis.

Głodnyś — to rozbij sklep!

Serce — do tłoczni: nabierze wigoru.

A kanarkowi —

Ukręcić łeb.

**STOLARKA**

Jeśli wolno mi jeszcze marzyć  
Niech marzenie doda mi sił:  
Chcę nauczyć się kunsztu stolarzy  
Muzyki hebla i pił.

Jakiś stary spocony majster  
Ohebluje mi wolę na dąb.  
Będę kornie gotował mu klajster,  
Będę ostrzył na pile ząb.

Białą skórę na dłoniach wydrę  
Byle tylko stolarzyć wciąż  
Byle mordą stalową świdra  
Wgryzać się w drzewny miąższ.

Może da mi wykończyć mebel:  
Będę kliny zabijał do dziur.  
Da mi w łapy okrzepłe hebel —  
W arabeski zakręcę wiór.

Zabiegają mi ręce, zaskaczą  
Wśród wiórów pachnących i drzazg  
A serce o pierś wykołacze  
Radosny murzyński jazz.

A gdy będę już robił sprawnie  
(Rok upłynie — a może i dwa)  
Wykreślę z paszportu: prawnik —  
Wpiszę dumnie: stolarz i drwal.

W artelu, wesoło i tłumnie —  
Sheblujemy za białym biał  
I w ogromnej drewnianej trumnie  
Pochowamy umarły świat.

## DO PANÓW POETÓW

Pocil Dostawcy flakonów narkozy egzotyki!  
Eunuchy otyłej Pani od Zmigrydera!  
Może wam tabes wyleczy brutalny dotyk  
Ludzi stalowych z powieści Uptona Sinclaira?

Kiedy, pytlując w kawiarni, na błahych dysputach  
Łykacie kremy, pół czarnej i grenadiny —  
Ojcowie rodzin na Woli i na Bałutach  
Wyrzebują z rynsztoków łupiny!

Dzierzgamie sobie, poeci, brabanckie koronki,  
Które rzucacie paskarzom w okładkach Ignisa —  
A w rzeźniach tysiąca Chicago mordują Onki  
I grzęzawiska wsysają olbrzymów Jurgisów.

Krzywda — krzywda — krzywda  
Ryczy miljonem głosów fabrycznej dzielnicy!  
Tak się do sali nocnego dancingu krzyk wdarł  
Umierającej na śmietniku położnicy.

Lecz wy robicie wciąż wiersze jak manikiurę  
 Nad kloakami miast rozpinacie jedwabny namiot —  
 Gdy Sinclair wali oskardem tak samo jak piórem,  
 Zakłada dynamit.

Nęci was łezką świerszcz za kominem Dickensa?  
 Spać wam nie daje sława Conrada rozległa?  
 A wiecie — jedno przeżycie Higginsa warte dziś więcej  
 Niż cała wasza „twórczość niepodległa“!

O, niepodległa obłudol Wolności Onanal  
 Jak wam nie obmierzył, poeci; samogwałt słowny?  
 Patrzcie! Nad globem powiewa już Rote Fahne!  
 Ciskajcie do dusz prochowni płonące głowniel

..... Paryże, Londyny!  
 ..... po słodkiej Warszawie!  
 Dezynfekować Europę kłębam dymów!  
 Ogień uzdrawia.

The first part of the book is devoted to a general survey of the history of the world, from the beginning of time to the present day. It is written in a simple and straightforward manner, and is intended for the use of students in the lower grades of the common schools.

The second part of the book is devoted to a detailed account of the history of the United States, from the first settlement of the country to the present day. It is written in a simple and straightforward manner, and is intended for the use of students in the lower grades of the common schools.

The third part of the book is devoted to a detailed account of the history of the world, from the first settlement of the world to the present day. It is written in a simple and straightforward manner, and is intended for the use of students in the lower grades of the common schools.

The fourth part of the book is devoted to a detailed account of the history of the world, from the first settlement of the world to the present day. It is written in a simple and straightforward manner, and is intended for the use of students in the lower grades of the common schools.

## SPIS RZECZY

### Wiersze:

	Str.
Gołębiarz . . . . .	5
Karuzela . . . . .	8
Miejskie . . . . .	11
W leśniczówce . . . . .	12
Od północy do świtu . . . . .	13
Lato 1923 . . . . .	19
Kapitan Nemo . . . . .	21
Szczęście . . . . .	25
Kino-dramat . . . . .	26
Męka . . . . .	28
Dwa wiersze pisane w szpitalu	29
Sześćdziesiąt sześć . . . . .	31
Ostatki . . . . .	34
Agitator . . . . .	36
Precz z kanarkami! . . . . .	38
Stolarka . . . . .	40
Do panów poetów . . . . .	42

### Litografie:

	Przed str.
Podwórko . . . . .	11
Tkacz . . . . .	19
Pokój z wami . . . . .	25
Inwalida . . . . .	31
Tragarz . . . . .	34
Szofer . . . . .	42





## WITOLDA WANDURSKIEGO:

- ŚMIERĆ NA GRUSZY.** — Zabawa sceniczna w 3-ech aktach (9 obrazach). — Dekoracje i inscenizacja autora. — Grano w Krakowie (Teatr im. J. Słowackiego) w styczniu 1925.
- TOMEK SAVYER** czyli **PRZYGODY URWISA.** — Widowisko w 4-ech aktach (20 obrazach) według powieści Marka Twaina. — Dekoracje i inscenizacja autora. — Rękopis.
- NOWA SCENA ROBOTNICZA.** — Wybór utworów scenicznych Majakowskiego, Golla i Brauna w przekładzie i inscenizacji W. Wandurskiego, ze wstępem i uwagami tegoż. — „Książka”. Warszawa 1923.
- TRZY SALWY.** — Biuletyn poetycki (wraz z Władysławem Broniewskim i Stanisławem Ryszardem Stądé) Warszawa 1925.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
THE UNIVERSITY OF CHICAGO